505602

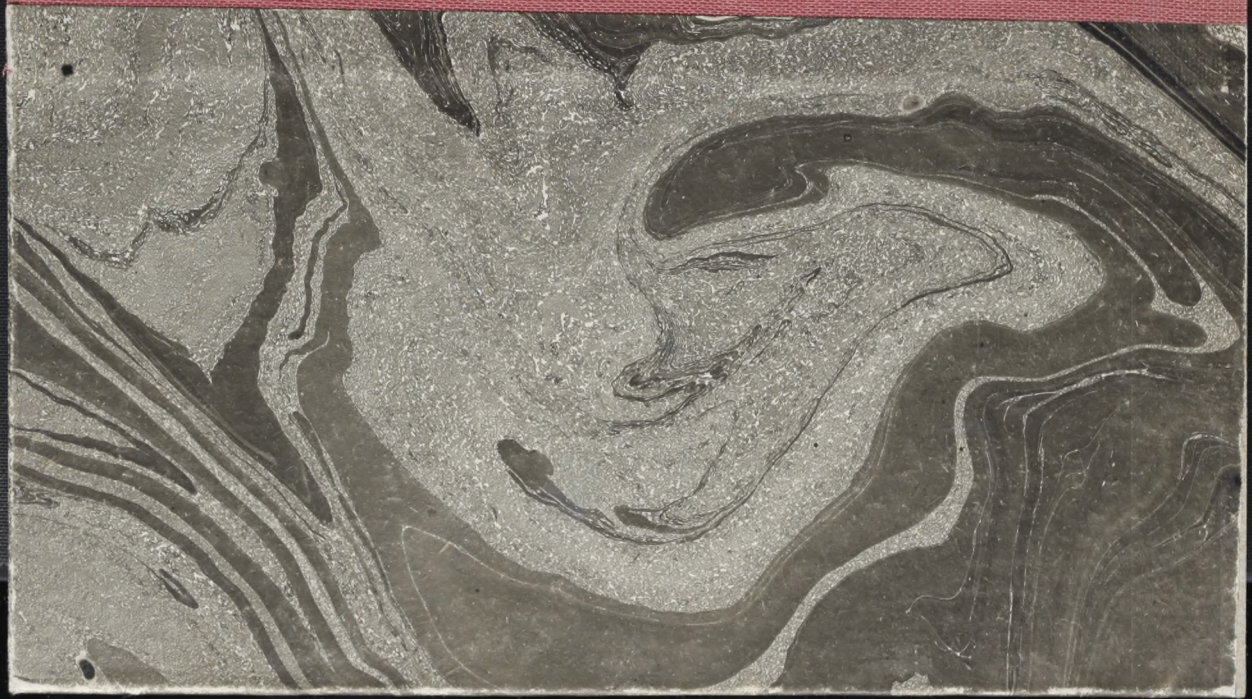

I. 505. 602.

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

DUSZA MIASTA

382

DUSZA MIASTA

Wacławowi Berentowi
w hołdzie i uwielbieniu
za „Żywe Kamienie"
poświęcam

J. Galińska

Kraków, maj 1922.

JÓZEFA AL. GAŁUSZKI:

„PROMIEŃ I GROM“ J. Czernecki Kraków 1920.
(Nagroda konkursowa Min. Kultury i Sztuki).

„BIESIADA KAMELEONÓW“ Gebethner i Wolff 1921.
(Nagroda konkursowa Min. Kultury i Sztuki).

„UŚMIECHY BOGA“ Gebethner i Wolff 1922.

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

DUSZA MIASTA

208

Gebethner i Wolff
Warszawa — Lublin — Poznań — Łódź
Kraków — G. Gebethner i Spółka
1922.

I. 505. 602.

Biblioteka Narodowa
Warszawa

I. Ak. 3409

1941 D. 777

DUSZA MIASTA

Przeklęte miasto swe macki polipie
wyciąga wszędy, dusi mnie i dławi —
myszkuje, jakby na pogrzebnej stypie
tęczowych świateł ciągnąc ogon pawi — —

I krzyczy, jeśli żer jakiś popadnie
swem skamieniałem, cyklopowem okiem —
wydrze łzy twoje, skryte w sercu na dnie
i zmiesza z brudem, z plugawym rynsztokiem — —

O miasto! — Wzdłuż ulic widmowych perspektyw,
które się długim sznurem świateł roją
pomykam chyłkiem, cicho jak detektyw
za duszą twoją — —

U bram przystaję zamkniętych kościołów,
kędy obwiesie, dranie, drapichrósty
czatują w wnękach wierzejnych na połów,
kędy się widmo przesuwa rozpusty — —

I wszędy idę,
wypatruję skrycie
za twoją duszą

miasto! najbardziej ukochane z miast — —
Duszę za duszę i serce za serce!

Patrzę w lic twoich okropną ohydę,
z jaką plwasz krwawo w me słoneczne życie — —

Widzę, jak łzami źrenice twe prószą —
Szukam w rynsztokach pogubionych gwiazd — —

ULICZNICY

Siedzieli na worku nakradzionych węgli
we dwójkę — obdarci i brudni straszliwie — —
(w swem złodziejskiem rzemiośle oddawna się sprzę-
Gadali coś wesoło — — [gli)
Jeden w włosów grzywie
zatopił czarne palce — drugi z za pazuchy
wyciągnął jakąś szmatę i brudne banknoty
porozkładał na worku — — Jak rzetelne druhy
dzielili się zdobyczą swej wspólnej roboty — —

Ćmili gdzieś po rynsztokach uzbierane kciuki —
Mieli po lat piętnaście, po szesnaście może —
łachy na nich podarte na sztuki —
koszule brudne, że pożal się Boże — —

Gdzieś tam z przedmieścia ostatnie wywłoki — —
Skryli się do cegielni, tu — za płot wysoki,
by odetchnąć choć chwilę swobodniej — —

Liczyli — na dwie kupki rozłożyli
papierki — potem do kieszeń od spodni
schowali — — Ćmili kciuki ust kątami
i cynicznie spluwali przez zęby — —

Ale te ich gęby — te niefrasobliwe gęby,
uśmiechnięte a zuchwałe —
te oczy — te zbrudzone pyski,
które bito od samej kołyski —
w które prał pięścią ojciec życie całe,
które stójkowy podbijał kułakiem —
te gęby, które matka — matka całowała
zawsze z uczuciem jednakiem —
bo matka — matka, to rzecz święta:
przy lampce kopcącej zeszywa portczęta
późno, późno w noc — —

Dla matki ten worek węgli
dziś zdobyć poprzysięgli — — drugi sprzedali —
pieniądze dzielili rzetelnie — —

Teraz odpoczywają — wleźli pod cegielnię
za ten płot — tu ich nikt nie zgoni —
(Trzeba się trzymać od miasta najdalej —
dla wypoczynku szukać oddalnej ustroni) — —
Bo też ich życie — psiakrew — ich życie — —
zawsze chyłkiem — wychodzą o świcie —
wracają nocą i wiecznie się kryją
w tej rozpadłej cegielni, co dzisiaj niczyją — —

Na każdym kroku — za węgłem — na skręcie
ktoś czyha — ktoś tropi zawzięcie — —
Psiakrew — ich życie — —
Milczeli —
głowy na dłoniach oparli — dumali:
Codzień po węgle zaledwie świt szary
poniedziałek — wtorek i tak dalej
od niedzieli do niedzieli — —
Wszystko-by dobrze — tylko te psiewiary
policyjanty — te obmierzłe chrunie — —

Jeden drgnął — spojrzał — porwał wór na bary
i mruknął:
Antek — stójkowy tu sunie — —

WETERAN

Stryjowi memu Bogumiłowi Gałuszce

Z twych źrenic, dziś wyblakłych, z pod krzaczastych [brwi
sypały się gromowe, migotliwe mioty
ongiś za dawnych lat —
a w piersi się panoszył duch jakowyś lwi,
co gnał cię po gwiazd wieniec promienny a złoty
na świat — —

Dziś zapomniano cię — —
staruch tyś, nędzarz, kaleka,
od lat we wielkie zapadnięty karło — —
I cóż kogo obchodzi buta twojej krwie —
ona droga na Sybir daleka,
po której wodzisz źrenicą zamarłą? — —
Cóż tam komu rok dzisiaj sześćdziesiąty trzeci?— —

Strawy do ust nie dźwigniesz prawicą obrzękłą — —
Tyś dziś jak żołnierz stary z dziecinnych rupieci,
któremu dawno serce sprężynowe pękło — —

Czasem jeszcze podejdzie do cię ktoś z litości
z pytaniem: Jak tam zdrowie panie jenerale? —
i dyskretnie ziewając, jak zwyczajem gości,
udaje, że rozumie, nie słuchając wcale — —

Siedzisz i dumasz godziną zmierzchową:
jakoweś defilady: obraz zblakłych scen — —
a dokoła nad twoją opuszczoną głową
w tykotaniu zegara chybota się sen — —

I nikogo nie zdziwi, gdy zamkniesz powieki — —
W jeneralskie cię znowu ustroją lampasy —
ze schowków twe ordery przełożą do trumny
i wyprawią ci pogrzeb, pogrzeb pierwszej klasy,
wielki, szumny — —

I przyjdą poczciwe ludziska
z ostatnią — jak to mówią — posługą:
przepatrzą na klepsydrze litery nazwiska,
a potem rzeszą długą
popłyną, towarzyską bawiąc się rozmową
za twoją trumną — —

I nawet nie zasłyszą, jak po chmurnej dali
niebieska artylerja z rumorem przeleci
i ze szańców tatrzańskich salwę honorową
na rozkaz Boga wypali
nad twą mogiłą, za rok sześćdziesiąty trzeci — —

ZWYCZAJNA HISTORJA

Umarł dziś dziadzio nad ranem —
w swoim maleńkim umarł pokoiku,
po chrześcijańsku, pojednany z Panem,
cicho — bez krzyku — —

Leżał już parę miesięcy —
czasem pokaszlał tylko cichuteńko —
ot, taki nędzny skrzat — —
Jadał już tylko jajeczko na mięko,
nic więcej — —
Miał ponoć przeszło osiemdziesiąt lat — —

Bóg wziął — —
Był już prawie ślepy — —
Siadał niekiedy skulony na łóżku
i pykał fajkę na krótkim cybuszku —
czasem pokiwał siwiuteńką głową
i nos wycierał chustką fularową — —
A twarz miał taką strasznie pomarszczoną,
jak skórka zmarzłej, siwej kalarepy — —
Do siebie czasem uśmiechał się pono — —

Nie golił się także od tygodni paru:
zarastał jakoś szaro-zielonawo

i wciąż poprawiał drut u okularów
zgrzybiałą ręką to lewą, to prawą — —

Pomarł dziś rankiem dziadunio —
ot taki krzaczek, taki człeczy strzęp — —
Pożegnał się wczoraj i z Józiem i z Dziunią,
co to w pokoju jadalnym tak krzyczą — —
(Ubyła jedna do karmienia z gęb —
bo na rodzinę ciężko urzędniczą — —)

I zamówili w podwórzu u cieśli
zwyczajną trumnę (to przecie do ziemi)
i w tajemnicy na cmentarz wynieśli
schodami tylnemi — —
Bo frontem się sprowadzał już lokator nowy,
co czynsz obiecał dać iście książęcy — —
dobito targu paru ledwo słowy:
za pokój dziadka dał kilka tysięcy — —

BIBLIOTEKA NARODOWA

BALLADA

Dziwną sobie znalazła zabawę
ta panienka nade mną, na piętrze:
siada w oknie i loki złotawe
zesypuje na lica w pochyleniu głowy —
potem w usta od ponsu gorętsze
(maków w słońcu krzyk, krzyk purpurowy)
wkłada
liljową ręką
słomkę cieniuteńką
i — zaczyna się cicha, przedziwna ballada
baniek mydlanych — — Lecą jedna po drugiej
tuż, tuż przed moim nosem
bańki mydlane w kolorowe smugi
z kropelką słońca — —
Pękają z niechwytnym, bolesnym pogłosem
gdzieś na dnie serca — —

Chyli się główka w otuleniu złotem –
usta się dławią dyskretnym chichotem — —

Lecą wdół bańki mydlane bez końca — —

BABIE LATO

Liście pod stopą pożółkłe, rdzawe,
jak martwe szybki wypadłe z witraży,
przez które w letnią, promienną kurzawę
patrzało słońce uśmiechem swej twarzy —
szeleszczą gamą chromatyczną, szklaną,
liście bezpańskie, niczyje — —

Ksiądz siwowłosy szeleści sutanną,
nad czyjąś trumną sepleni: requiem — —

Na żwir, na piach sypki
lecą spękane witrażowe szybki,
liście, liście umarłe — —

Jedwabną parasolką na piasku kreślone
imię pierwszego kochanka
przez siwiuteńką w żałobie matronę:
sny niezwierzonej nikomu miłości — —
Ręka maleńka, szafranu odwarem
jakby barwiona — ni z słoniowej kości
relikwiarzyk gdzieś na biurku starem:
umarła, martwa ręka — —

Słońce zasnute w białe pajęczyny,
w nitki jedwabne, w przędzę batystową — —
Na ustach bladych białej margrabiny
szklanym poszeptem drgało jakieś słowo,
na wargach bladych:
Hej! hej, poeto! — parasolką moją
omieć mi niebo z siwej pajęczyny — —

Na cichych grobach nieme krzyże stoją — —
Na żwir, na piach sypki
lecą spękane, witrażowe szybki,
liście, liście umarłe — —

ZŁA GODZINA

A czasem w wieczór listopadowy,
gdy wichr zukosa zacina dżdżem
idziesz ulicą, jak bezpański pies — —
Nie mając złożyć gdzie głowy
idziesz — i okiem podejrzliwem, złem
spoglądasz w twarz przechodni — —
Gryzłbyś ich, szarpał jak pies — —
W mózg ci się wampir wpił
jakowejś głuchej zbrodni:
Krew komuś wypruć z żył!

Idziesz w zaułki, hen — po miasta kres,
gdzie już ścichają życia tętna — —
Gdybyś mógł
wtarasiłbyś własne serce
w błoto, w rynsztoki, w śmietniska — —

Środkiem rozmokłych dróg
zachodzisz nad rzekę: woda mętna,
cicha i czarna jak trumienne wieko
szeroko — daleko — —
Na garbach fal iskierka po iskierce:
światło latarni omglonej

w krwi krople się rozpryska — —
Łomoce w piersiach serce
jak za topielców dzwon — —

Stajesz, patrzysz: fal ogrom daleki,
męty, wiry otchłanne i — cisza na dnie,
i wielka, wieczna tajemnica rzeki — —
Most się żelazny pod stopami gnie — —
Patrzysz we wodę — kilka stóp
zaledwie — — Mróz wparł ci się w kości — —
Na falach wirów oka —
pobłyski mgliwe latarni — —
Wstrętny, nabrzękły trup
na wodach nieskończoności — —

Rzeka daleka, szeroka — —
Patrzą topielce: oczy wypłukał piach —
sini, potworni i czarni
na fali — — lice spłukane w łzach,
których wypłakać im nie było komu — —
psy, psy bezpańskie, bez domu — —

Na garbach fal iskierka po iskierce:
światło latarni omglonej
w krwi krople się rozpryska:
pęknięte krwawi serce — —

Są przy kościołach dzwony,
co się za one topielce
bez grobu i nazwiska
modlą jękliwie: Odpoczywanie
wieczne racz im dać Panie — —

Fal ogrom daleki,
męty, wiry otchłanne i cisza na dnie — —

Gdyby tak poprostu
z mostu — —

WIETRZYSKO

Hej! — rozszalał się wicher: mroźnemi pazury
padł na pola piaszczyste i drze ich zagony —
skrzydliskami podmiata piachu tuman bury
i niesie, niesie w świstach w świat na różne
[strony — —
Jakby wód brudnych falą wygiętym podmuchem
dmie przez pole, przykopy, przez puste rozdroże —
sypie żwirem, pomiata szumnie liściem suchem —
rozdziera skibne role — pazurami orze — —

A drzewa aż dygocą w zimnicy wichrzyska,
tarzają się po drogach, jak pijane chłopy — —
Wierzba, by ta żebraczka scherlała i niska
przysiadła w zatuleniu na skraju przykopy — —

Hej! — wietrzysko się tarza nad światem uparcie —
Na kominach przez noce dmie niesamowicie:
jakieś płacze niemowląt i zaśmiechy czarcie —
jakieś szponami śmierci zadławiane życie — —

I ludziska coś prawią cichem zszeptywaniem,
że to dźwierze naścieżaj rozwarto do piekła —
że to biesi po świecie uganiają za nim —
za tym, co się powiesił — — (żona mu uciekła — —)

STRAJK

Przyszli mroczną gromadą w milczącej powadze,
zwartemi szeregami zaparli ulicę —
przyszli pod gmach, gdzie możne urzędują władze —
stanęli i ku oknom zwrócili swe lice — —

Czoła znaczone niemej grozy majestatem,
twarze szorstkie, jak spieką przypalona gleba — —
Przyszli wielką gromadą, gdzie każdy człek bratem
żądać twardemi słowy powszedniego chleba — —

Wysłali dwóch — czekali — Wiatr hulał w ulicy,
przeto w bluz swych kołnierze powtulali głowy —
Zwartą ławą przed gmachem stali robotnicy,
a w oczach im się palił majestat grobowy — —

Po chwili wyszli tamci — coś głośno pytali —
w odpowiedzi rąk wgórę podniosło się krocie —
przebiegł basowy pomruk, jakby poszum fali:
uchwalili od dzisiaj wielkie bezrobocie — —

Weszło w gmach kilkunastu — zamknęli urzędy— —
Gmach zastygł i sposępniał w milczeniu ponurem,
a oni, by pielgrzymi do grodu Legendy
ruszyli i pieśń gromką zaśpiewali chórem — —

Hej! — niosła ci się niosła szeroka — daleka —
ulicami — nad miastem, aż sięgała nieba,
a oni szli gromadą ku prawom człowieka,
żądając twardą pieśnią powszedniego chleba — —

Na drugi dzień zosobna, we dwóch, trzech po
[mieście
tułali się — chodzili osowiali — błędni — —
Pod wieczór rozlepiono depesz coś ze dwieście —
Czytali: — że minister żądania uwzględni — —

SĄD

Aż łuna biła z rozjarzonych sal,
z okien blask padał na śnieg — —
Muzyka grała foxtrota —
dobiegał końca bal — —
Przez park, naprzełaj od płota
pod okna chyłkiem ktoś biegł — —

Dwie twarze przylgły do szyb
i znowu skryły się w cień — —
Cyt! — lokaj w liberji — drzwi skrzyp:
w lisiurze szedł ktoś przez sień — —
To on! — —

Czekali przyczajeni
u schodów, z żelazem w kieszeni — —
(auto warknęło wśród drzew)
Bij w łeb ciaracha!
błysk stali —
raz! dwa! — — krew — —
Krzyk — — śmiech: ha! ha! ha! — —
Uciekali — —

POGRZEB LOTNIKA

Marsz żałobny Chopina w potędze i grozie
czarnemi skrzydły śmierci o szyby łopota — —
Wysoko ponad tłumem na dziwacznym wozie
płynie ulicą trumna — — to pogrzeb pilota — —

Kadłub mu samolotu, jako wóz żałoby
dano w drogę ostatnią do nieznanych bytów,
by w królestwo szedł śmierci, w milczenie i groby
jak pan gwiezdnych przestworów, jak władca
[błękitów — —

Krzyż na przedzie — blask słońca na trąb zło-
[tej blasze —
Milcząca rota wojska: broń o ramię wsparta —
Zimnem światłem kling grają łyskliwe pałasze,
w dwu szeregach przy trumnie honorowa warta — —

Za wozem krewni: głowy pochylone nisko —
czarne, żałobne szaty — cień grozy na twarzy — —
A potem tłum: zmieszane, szare kłębowisko —
i długi, długi szereg aut i ekwipaży — —

Opasano mu trumnę wokół kwietnym sznurem —
Wśród tłumu sprzeczne wieści szły falą rozlewną:

sam pono winien śmierci — zginął przez bra-
[wurę — —
pono motor się zepsuł — nie wiedzieć napewno —

Śniły mu się poniebne, ikarowe loty —
darł się, by błędny orzeł do słonecznych świtów,
któremu pierś zdruzgotał piorun krwawo-złoty — —

Runął w otchłanie śmierci, lecz runął z błęki-
[tów — —

LOŻA „KOŃSKIEGO KASYNA"

W teatrze,
gdy grywają sztuki rzadsze
w loży „Końskiego kasyna"
zaświeci czasem
jakaś łysina
jedna, druga, złote okulary — —
Ktoś niskim rozprawia basem —
Ziewają — chłopy starej wiary — —

Nerwy im batem podcina muzyka:
Aaa — aaa — w takt się kiwa czerep tabetyka — —
Ktoś na parapet loży
łaskawie rękę położy:
dłonią martwą, opartą na pluszu
wystukuje rytmy animuszu — —

Na scenę nie patrzą prawie,
po akcie wychodzą drugim
z piór oskubane pawie,
trawiące przodków zasługi
przed dawnym, złotym czasem — —
(Do sztuk z przed wieku stare rekwizyta —
poza nawiasem — —)
A jak łby nosi wyłysiała świta!

Bywają jeszcze w teatrze,
gdy sztuki grywają rzadsze
i łbem kiwają starym
nad nowym repertuarem — —

ŚWINIARZE

Stali gromadką — — Schlastane buciska
wyschniętem błotem aż po wierzch cholewy —
kurta na każdym wyświechtana, śliska —
kapeluch na bok zesunięty lewy — —

W czerwonych łapach dzierżyli palice
grubaśne, krzywe, wycięte przy drodze —
Gęby opasłe, krwią nabiegłe lice —
Kałduny w śmiechu roztrzęsione srodze — —

I bycze karki, jak ćwikła czerwone —
(prędzej czy później pewnie ich szlag trafi)
Śmieją się — gęsto spluwają na stronę — —
Wszyscy świniarze z tej samej parafji — —

Jarmark był dobry: rechoczą ochoczo,
aż im się świecą zatłuszczone mordy,
mało im szczęki z zawias nie wyskoczą:
kwiczą i wyją przez wszystkie akordy — —

Jeden se portki podciągnął w rozkroku
pod kubrak w świńskiej poplamiony jusze —

ów z przymrużeniem chytrem w lewem oku
drugiego dłonią potrącił w podbrzusze — —

Ten wyjął sakwę: czarnemi pazury
rozsupłał guzy kolorowych szmatek —
na dłoń, jak bochen ogromną, kładł zgóry
sztukę po sztuce — odliczał zadatek — —

WE WIELKI PIĄTEK

Olbrzymi Chrystus leżał na podłodze,
lśniącym lakierem czarno malowany —
twarz wykrzywiona (snać, że cierpiał srodze)
w łunie świec wielkie krwawiły się rany — —

Patrzał na kościół oczyma martwemi — —
(Pobok leżała jałmużna na tacy)
ku jego ranom na klęczkach po ziemi
sunęli w zmierzchu kościelni żebracy — —

Jakiś o kulach przybłęda cherlawy
ciągnął się, ciałem kołysząc na boki —
cień jego pełznął po kolumnach nawy,
jak straszny koszmar przez mętne półmroki — —

Przypadł ustami ku stopom na długo —
trząsł nad Chrystusem brodą rozwichrzoną —
łzy mu po licu ciekły cichą strugą
na głowę Chrysta z cierniową koroną — —

Padł krzyżem potem w bezruchu zakrzepie,
kajał się nędzą, nicością żebraków —

a na odchodnem wilczem łypnął ślepiem
i schwycił w szpony z tacy garść miedziaków — —

W świątyni mroczno, dostojnie i pusto — —
Teraz do krzyża pełznie cień niewieści:
głowę zatula ostrzępioną chustą,
po płytach chrzęstnym różańcem szeleści — —

Przypadła z jękiem do nóg Chrystusowi —
ku tacy palce wyciągnęła suche:
w chrzęście różańca skradziony grosz wdowi
chowała chyłkiem z trwogą za pazuchę — —

Znów syfilityk z licem owrzodziałem
przypadł do krzyża i ssał długo rany —
żebrał, cuchnący strupami i kałem
o zmiłowanie u Pana nad Pany — —

Kikutem, brudną powiązanym szmatą
ze szwów wyłuspał dar suty, bogaty,
który z półgroszy ciułał całe lato —
i Chrystusowi złożył dwa dukaty — —

Skrzypły drzwi kruchty: pomknęły w mrok dzia-
Idzie przez kościół wielmożna gaździna [dy — —
(nowa spodnica, chustka od parady)
niesie ofiarę: świec coś z pół tuzina — —

Klękła przy krzyżu — zapala świec knoty
i w nachyleniu skapuje woszczynę
(zwolna się ima przędzy płomień złoty,
padając światłem nowem w mroki sine)

I każdą świecę chyląc nazbyt długo
modli się głośno, przygięta wpół ciała
pod spływającą wosku kroplę grubą:
Bodajś cholero, jak świeca skapała!

A Chrystus leżał na zimnej podłodze,
lśniącym lakierem czarno malowany —
twarz wykrzywiona (snać, że cierpiał srodze)
w łunie świec wielkie krwawiły się rany — —

KORYTARZE

Szpitalne korytarze, biegnące bez końca —
na kamiennych posadzkach jasne plamy słońca —
porządkowym numerem naznaczone sale
i służba w białych płaszczach sunąca niedbale — —

Czasem na noszach cicho przenoszą chorego —
czasem lekarz pospiesza — coś stało się złego — —
Drzwi się do jakiejś sali na ścieżaj rozwarły:
na noszach do trupiarni wynoszony zmarły — —

I znów cicho — a przeciąg czasami przywionie
silniejsze chloroformu i karbolu wonie — —

A o zmroku przechodzi tędy dziwny gość:
widmo niesamowite, wyschnięte na kość —
przypada w bezszelestnym przelocie swych stóp
ku drzwiom sal — stuka cicho, zapraszając
[w grób — —
Niesamowite widmo, wysokie jak żerdź,
chodzi korytarzami szpitali — to śmierć — —

SZPITAL

PAWILON WARJATÓW

Pawilon warjatów — tych co to z za krat
płonącemi oczyma patrzą przed się w świat — —
Dom wysoki — osobny — w oknach mocne pręty,
a do każdej z krat człowiek kurczowo przypięty,
niby pająk na sieci — i każdy z nich tuli
ciało wyschłe na szkielet w szpitalnej koszuli — —
Każdy w żelazne pręty wgnieciony pół twarzą —
obłędem strasznych oczu, co z orbit wyłażą
patrzy — patrzy zachłannie na trawnika skrawek
lub w niebo, gdzie nad wieżą stada wron i kawek
w pokrzyku rozhowornym ponoszą się chmurą — —
Ten chichocze — ten czoło nasępił ponuro —
tamten wyje, aż mrowie przechodzi człowieka —
ten łka żalnie — ów znowu z plec koszulę zwleka,
a tamten matki woła — — Jeden dłoń żylastą
wysunął przed się: krzyżem błogosławił miasto —
Drugi z za krat swe ramię wyschnięte, jak szczu-
wytężył wprost ku niebu i pięścią wychudłą [dło
pograżał ku błękitom, skąd Stwórca łaskawy
opatrznościowem okiem wgląda w ludzkie spra-
[wy — —
Dziwny dom, skąd przez mocne, przez żelazne kraty
patrzą na świat wesołe i smutne warjaty — —

SZPITAL

OGRÓD

Słońce — nikłe drzewiny — wydeptane trawy —
ścieżki, biegnące prosto w białe pawilony,
któremi chodzi trwoga i jakiś żal łzawy —
czasem rekonwalescent wlecze się znużony — —

Cisza przechodzi w słońcu, ta szpitalna cisza
trwożliwych wyczekiwań, pokorna i mnisza,
w kornecie, nasuniętym na lica dziewczęce,
różaniec smutnych godzin przesuwając w ręce — —

SZPITAL

PAWILON ŚMIERCI

W odsuniętym budynku od reszty szpitala
leżą umarli w ciszy, ci, którym już pilno
iść od ludzi i w trumnach ułożyć się zdala
w bożą rolę, w święconą ziemicę mogilną — —

Człek zdaleka omija ów pawilon śmierci,
pogrozą otulony, niby skrzydłem kruka,
kędy nad pociętemi trupami na ćwierci
biesiaduje, w majestat odziana Nauka — —

UMARŁE LOKOMOTYWY

Stały pod rząd jedna za drugą
na jakimś dworcu wśród nocy
umarłe lokomotywy — —
Draśnięte światła smugą
miesiąca, co w srebrnej karocy
jechał po niebios okolu
zdały się jak martwe olbrzymy
rycerne z pryśniętą kolczugą
na piersi, na bitewnem polu — —

Drzemały nocą wśród zimy
ciche, upiorne, straszliwe — —
Śnieg ci im nasuł ogromne magiery
na zimne żelaziwo,
na dzwona u kół —
i wiatr idący przez śniegową niwę
dmuchał w ich kotłów otwarte kratery
jakąś piosenkę smutną, żałośliwą,
jakieś rekwjem bez końca im snuł — —

A kiedyś one pędziły
po szynach stalowych wskróś ziem
z rumorem, z rozpędem, z łomotem —

i niosły kogoś, na czyjeś mogiły,
na weseliska, na radość, na ból — —
Hej! gnały ci gnały pełnych piersi tchem
z ogromnym iskier pióropuszem złotym,
gradem rubinów siejąc w bezmiar pól — —
Pędziły w wichrach, w szumie i rozdruzgu
po szynach-piorunach na świat
przez ludzkie piersi, w bryzgach białych mózgu
torem żelaznych lat — —

Cicho! — upiór jakowyś skacze
z lokomotywy na lokomotywę — —
Przez puste szczęki
dmie na ostygłe zdawna paleniska
piosenki
sobacze —
zrdzewiałe dźwignie naciska:
porusza kół kłonice — —
Cyt! — śmierć tam daje sygnały:
niesamowite zaświsty — —
Wlepia upiorne lice
w okienko maszynisty — —

NA POLSKICH DROGACH

Po pęciny szły w błocie koniska,
wózek się po osie zapadał w wyboje —
wiatr, co jak bies po pustoszach z skowytem się
[ciska
dął na wierzb rudych prętach złe melodje swoje,
po twarzy ziąbem siekł — —
Na polach wód lustrzanych ogromne zakola:
w grudniowy dzień straszliwe, plugawe roztopy —
żółtą nawiany gliną wilgny śnieg
na zboczach gnił przykopy — —
Po wydmuchowiskach chodziła niedola — —

A ów na krzyżach rozpięty Bóg
dygotał z zimna skulony i siny,
i patrzał smutnem okiem od rozstai dróg
na wód zalewy, na zamokłe pola
i na głębokie w drogach koleiny —

Gdzie sięgniesz okiem pustkowie ponure —
rzadko omijasz chatę, samotne podwórko — —
Łokcie kulisz w rękawy, kołnierz dźwigasz wgórę
i od wichrów-zamrozów otulasz się burką — —

I w taki czas,
gdy pies nie wyjrzy z swej budy,
napotkasz przecie człeka:
brnie środkiem dróg — chałat podgiął wpas — —
Poznajesz, poznajesz zdaleka:
żyd Judka — zgarbiony i chudy,
dźwiga worek związany sznurkiem przez połowę —
Brodę mu wichry rozmierzwiły biesie,
troska i nędza pochyliły głowę — —
Idzie za szczęściem po świata bezkresie — —
Na Judkę, widno — Bóg zawziął się dumny:
czego tknie, w rękach musi się mu sterać —
i gdyby Judka zaczął robić trumny,
toby i ludzie przestali umierać — —

Ale on przecie za szczęściem się wlecze,
on, co wszystko i wszystkich w cierpliwości przerósł
idzie przez dżdże, przez pola, przez lasów prze-
[siecze,
na drogach polskich wieczny Ahaswerus — —

W KOŚCIELE

Padły na duszę mą dzisiaj w kościele
wielkie tęsknice, nieukojne smęty,
że lat minęło tak wiele — tak wiele — —
Smutek na duszę padł dzisiaj w kościele — —

Płonące świece, ustrojone w ziele:
dzieci do pierwszej szły Komunji świętej — —
Padły na duszę mą dzisiaj w kościele
wielkie tęsknice, nieukojne smęty — —

DLACZEGO

Pożegnałem dziewczynę pod bramą,
może tkliwiej, serdeczniej niż codzień —
potem drogą wracałem tą samą,
jak zwyczajny, spóźniony przechodzień — —

Nie wiem czyją dziś było zasługą,
żeśmy byli i bliżsi i szczersi —
i dlaczego dziś ona tak długo
łkała cicho, przytulnie na piersi — —

I sam nie wiem dlaczego dziś właśnie
powracałem z zamglonem łzą okiem —
żem dzieciństwa jasnego snuł baśnie — —
żem gwiazd szukał na niebie wysokiem — —

Psa spotkałem, włóczęgę nocnego,
co się porał z rzuconym gdzieś gnatem —
i znów nie wiem — dziś właśnie dlaczego
ten pies był mi rodzonym mym bratem — —

DAROWAŁ MI SERCE

I szedłem pustemi ulicami,
późno, gdy gwiazdy już bladły w błękicie
wzdłuż śpiących, martwych kamienic
biedny i słaby człek —
i Bogu się skarżyłem,
Temu, co litanję niemą gwiazd
zawiesił na przestworzach —
i z moich ócz padały łzy
bezwolne, na bruk,
w pył, naniesiony tysiącem nóg — —

Chciał ci mnie ongiś doświadczać Pan
cierpieniem i nieszczęściem —
zaciąłem wówczas zęby jak wilk
i mocno-m zacisnął pięście
i byłem twardy jak głaz — —
A dziś mnie szczęściem zdruzgotał
na proch:
darował mi serce czyjeś takie czyste,
takie dostojne, tak ludzkie, tak święte,
żem patrzeć na nie tylko mógł
przez łzy najgłębszej radości — —

I nie umiałem serca onego
brać w moje twarde, chamskie dłonie — —
Za wielkie szczęście zwaliłeś na barki
moje — o Panie —
i zdruzgotałeś mnie — —

Błogosławiącą Twą gnany prawicą
patrzę w milczeniu ku gwiazdom —
biedny i słaby człek
i z źrenic moich ściekają łzy
jak grube krople przed burzą,
bezwolne, na bruk,
w pył, naniesiony tysiącem, tysiącem nóg — —

DZWONY W MGŁACH

We mgłach gdzieś biją dzwony
na żal, na ból, na trwogę — —

Poszłaś daleko
w świat tumanami jesieni omglony,
a nie wiem w jaką drogę — —
Na serce lute łzy cieką — —

To serce moje uderza jak dzwon
na żal, na ból —
na przełaj wszystkich świata stron,
wskróś wszelkich dróg i pól — —
to serce moje — —

JAK MARTWE SZYBY

Jak martwe szyby umarłych kamienic,
co wszystko widzą, a nic nie poznają
są natężenia moich szklanych źrenic,
które cię wszędzie napróżno szukają — —

Tłum się dobija kolorową zgrają
do przerażonych natężeniem źrenic,
co wszystko widzą, a nic nie poznają,
jak martwe szyby umarłych kamienic — —

CIEŃ

Poszedłem na pola, wpół śniegiem zasute,
na pola dalekie i puste — —
Wichr śmigał tumanem przez śniegową krustę
i gwizdał mi dziwnie żałośliwą nutę
za uchem, na rurach u flinty:
jakoweś prześpiewy, zawodzenia społem
rozpłakanej tercji i molowej kwinty,
co się zsypywały na duszę popiołem — —

Słońce padało —
o ziemię stężałą
rozprysło się, jak lampa w kawały
i wszczął się pożar olbrzymi:
na niebios zachodniej połaci
buchnął słup ognia, a horyzont cały
zalała krwista pożoga
i od niej iskier snopami powiało
ku kalenicy świata — —
Niebo chmurami dymi,
purpurzy się i szkarłaci
i jęzorami płomieni omiata
tron Boga — —

Chodziłem tu przez niwy
o wiośnie nie sam,
promienny i szczęśliwy
w każdy nieledwie dzień — —

A dziś rzuciłeś mi Boże
od Twych słonecznych bram
zachodu łuny pożarne,
od których na śniegów przestworze
padł mój samotny cień — —

Z OPŁATKIEM

Przyszedłem do was, Tatry wy moje
w tę noc bieluchną, najświętszą —
o ciszę u was ja żebrzę — —
Z moim sierocym opłatkiem stoję
wśród skał, co wichrem w gwiazdy się piętrzą,
zmartwiałe w bieli i srebrze — —

Nikt nie przełamał opłatka ze mną;
przeto tu do was przychodzę
w ten wieczór rzewny i złoty —
Wyście mi z waszą grozą tajemną
braćmi ostały na mojej drodze —
i wyście dzisiaj sieroty — —

Wichry-zawalidrogi tłuką się nad wami —
lawina na Zawracie, jak gad
zwiesiła łeb i zielonemi ślepiami
patrzy w świat — —
Dosiadł ją czart: świsnął nad Tatry całe
i leci, leci wdół z chrobotem
Hej! Jezu! — Wichry-tumanice białe!
Czart na lawinie — Hop! hop!
Powalił się pokotem

na staw — — Zawył pod nieba strop,
aż gwiazd przestworem
echo się w druzgi rozsiekło — —
Ognistym jęzorem
ciął w staw, w lód
i poszedł wspód,
w piekło — —

A teraz już cicho: gwiazdy dzwonią — —
Od mlecznych dróg
schodzi maleńki Bóg
i błogosławi dłonią — —

Opłatkiem łamię się z wami
kamienni bracia wy chmurni —
w ciszy przypadam ustami
do stóp Zamarłej Turni — —

OGIEŃ

Padały drwa rubinowe
w popielne osypisko —
w kominku ogień gasł — —
Ciężka zaduma schyliła mi głowę
na piersi nisko, nisko,
jakby nadmierny głaz — —

A rubinowe drwa
w czarne ostygły agaty,
pereł je siwych osypał grad —
i w kątach pustej, ogromnej komnaty
mrok czarnooki siadł — —

Jeno się w duszy palił bunt
z tych iskier porzuconych
nieskończonego Boga poematu —
jeno się ramię tężyło w giest
po słońc korony — —

ŻEROWISKO

Nad kanałem, przy ujściu do rzeki,
po skrajach odtajałej, plugawej przerębli
rozpanoszyły się gromady wronie —
rozciągnęły wzdłuż brzegów sznur czarny, daleki,
ni ci żydzi w chałatach pokurczeni, zziębli
na czarnej giełdzie, za żerem w rozgonie — —

I kroczą wroniska w pokrzykach i gwarze —
czasem w gromadę łby stulą,
jak one chytre, wścibskie chałaciarze,
zalatujące śledziem i cebulą — —

Wrzeszczą ochryple,
łomocą skrzydłami,
zgłodniałe, zachłanne ptaki —
Obsiadły lodu poszarpane cyple
i mierzą łapczywie dzióbami
w byle kęs ścierwa, w ochłap lada jaki — —

Gdzieś się tam wiosna czai
u dalnych nieba sfer — —
Hej! wydrę zgniłe serce
i rzucę czarnej zgrai
na żer, na żer — —

OGNISTY KRZAK

Wierzę, że kiedyś, w dzień wiosny promienny,
kiedy wyjdę na pola, na świat
pierzchnie tragizm sobaczej gehenny,
co na serce kamieniem mi padł — —

Pójdę sobie na pola bez końca —
ku niebiosom ramiona otworzę
i znów radość ze serca wykwitnie,
jak w matczynem zatroskaniu słońca
one młode, zieleniutkie zboże,
one runie pszeniczne i żytnie — —

Wierzę w wieczne odrodzenie dusz!
Wierzę w wieczny zmartwychpowstań cud!

Hej! pójdę, pójdę w radość młodych zbóż —
twarz ku słońcu obrócę na wschód!

I gdzieś daleko, daleko ogromnie
napotkam święty, bladoróży głóg,
z którego w słupie płomieni wprost do mnie
wyciągnie ręce mój słoneczny Bóg — —

POECI

Kradniemy życiu purpurowy płaszcz
i zarzucamy na barki dostojnie —
nocą błądzimy po uśpionem mieście
i wypadamy ze zaułków paszcz,
ku gwiazdom młode wyciągając dłonie,
oręże święcąc ku wojnie:
klingi piorunne w gwiazd skrawym szeleście —
na święte boje — —
I w rubinowej krwi koronie,
udrapowani w krwawych płaszczy zwoje
idziemy, wiedząc że nam z tem do twarzy —
bogowie życia — szaleńcy —
uzurpatorzy — cezarzy — —

W krzepkich swych dłoniach dzierżymy oręże,
skropione szczerą łzą — —
Przed nami mrok, pustka — i nic więcej — —
nad nami nieba, których miecz nie sięże
cicho srebrzystym gwiazd migotem mżą — —

Za nami życie z pełną czarą krwi
tańczy w bezwstydnym kankanie —
wargami, w żółci zmaczanemi pianie

śmieje się, drwi
z nas —
i Sfinksa maską zagląda nam w twarz,
maską w odwieczny skamieniałą głaz — —

I przeciw komu święcim oręż nasz? — —

My tylko wiemy, że ten łachman krwawy
ma coś ze życia istoty —
coś z gigantycznych bojów i ze sławy,
pisanej na sztandarach gromowemi mioty
przez Boga nad hufami armji Lucyfera — —

Kradniemy życiu ów płaszcz purpurowy,
ociekający krwią —
i wonczas w niebo dźwigamy swe głowy
i młodą duszę lwią — —
Idziemy, wiedząc że nam z tem do twarzy —
bogowie życia — szaleńcy —
uzurpatorzy — cezarzy — —

A w trumnę weźmiem ów płaszcz i — nic więcej —
czerwony życia cud,

co nam za ziemskie królestwa był wart
i w nim staniemy u wrót,
które w pokłonie ozewrze Bóg-czart — —

Jeno się musim otulić zszlachecka
krwawym łachmanem, jak upiorny bies,
by Bóg nie dojrzał pod nim duszy dziecka,
ani w źrenicach ukrywanych łez — —

DUSZYŚ-CIE LUDZKIEJ NIE WIDZIELI

Więc wyście jeszcze niewolniczych łbów
nie dźwignęli z przerazy?
I wieki czekać będziecie znów,
jak pobite kaleki, jak głazy
nad spokojnem zwierciadłem cysterny,
by je skrzydłem potrącił anioł miłosierny? — —
Będziecie czekać na cud,
by zwlec cielska czerep chromy
do świętych wód
i zmyć ze siebie przekleństwo Sodomy? — —

Wy czekać będziecie dalej,
jak oni ludzie w pogrozie struchlali
u stóp Synaju, w gromowej muzyce,
jak owa strachem powalona rzesza
wonczas, gdy Stwórca kamienne tablice
przykazań zwalił na barki Mojżesza? — —

Wy dalej czekać będziecie
miłosierdzia aniołów czy Boga? — —

Przeszedł dopiero po struchlałym świecie
anioł bojów — (wichrowa pożoga
jeszcze się pobrzaskami na błękitach pali —)

anioł walk, twórczego życia bóg — —
I was jeno w trwodze on powalił z nóg? — —
I czekać będziecie dalej
na cud? — —

Karły przyziemne, pomiocie jaszczurzy!
Przechodził obok wielki czas,
w huraganowej kroczył burzy,
słonecznym gromem godził w was —
piersi wam ostrem pruł żelazem,
na sercach pisał przykazania
wielkich wyzwolin ludzkich dusz —
a wasz tłum w trwodze zbity razem
źrenice kryje i łby słania,
włosem zamiata drożny kurz — —

Przechodził obok wielki czas — —
W poblaskach śmierci ludzką psychę
postawił nagą, zbytą z szat,
stawił ją nagą wobec was — —
Wyście czerepy kryli liche,
śmierci się jeno chyląc wpas — —

Duszy-ście ludzkiej nie widzieli
w pochodniach śmierci, w gwiazd rozgromie
kiedy stanęła w boskiej bieli
przed wami blisko a widomie — —

A gdy się skryła znów w źdźbła trawy,
w iskrę promieni, w ros kropelce,
wyście zawiedli tan plugawy,
czcząc swoje dawne, złote cielce — —

Nas zwiecie mianem Don Kichoť ów
i szaleńcami straconej reduty,
że wasz gościniec od prawieka gotów
mijamy, idąc inną drogą
i że się waszym nie kłonimy bogom — —

Że dążym mimo burzowy czas luty
nieutrudzeni pielgrzymi
drogami ducha ku słońcu — —

Że cały wszechświat tajemnic olbrzymi
duszą i sercem ogarnąć pragniemy —
i że stwór każdy i każdy pył niemy
nieskończoności mierzymy pomiarem —
że to, co dla was codziennem i szarem,
nam równie wielkiem jak obłęd zaświatów — —

Duszy-ście ludzkiej nie widzieli
w pochodniach śmierci, w gwiazd rozgromie,
kiedy stanęła w boskiej bieli
przed wami blisko a widomie — —

CZŁOWIEK

Ramiona-m w krzyk wyrzucił do gwiazd —
Tyś mi je gwiazd ćwiekami do niebios przybił
[wkrzyż — —
Zawisłem ponad światem, nad mrowiem gwarnych
[miast,
czołem sięgając sfery zaświatów martwych cisz — —

Zwaliłeś mi na ciemię
potworny gwiezdny strop —
do stóp mych przytroczyłeś brzemienną, ciężką
cały, niezmierny głob — — [ziemię,

I oto wiszę rozpięty pomiędzy ziemią a niebem
i trzeszczą stawy moje od wielkich, strasznych
[mąk —
a kiedy wołam: łaknę — karmisz mnie ziemi
[chlebem
i poisz mnie tęsknotą z kielicha boskich rąk — —

Zawisłem wkrzyż, w bunt wieczny nad czasem
[i przestrzenią
ze sercem, co się tłucze jak oszalały dzwon — —

Gromy mi Twego gniewu koroną skroń płomie-
[nią —
mą pierś rozorał w bruzdy Twych sępów krzyw
[szpon — —

I nigdy już nie przyjdzie dla mnie wyzwolin
[dzień —
nigdy nie skryję źrenic pokorą moich powiek,
jak długo Ty trwał będziesz: wieków olbrzymi
[Cień
i ja, wydźwigający mym buntem światło: Czło-
[wiek — —

SPIS RZECZY

	Str.
Dusza miasta	5
Ulicznicy	7
Weteran	10
Zwyczajna historja	12
Ballada	14
Babie lato	15
Zła godzina	17
Wietrzysko	20
Strajk	21
Sąd	23
Pogrzeb lotnika	24
Loża „Końskiego kasyna"	26
Świniarze	28
We Wielki Piątek	30
Korytarze	33
Pawilon warjatów	34
Ogród	35
Pawilon śmierci	36
Umarłe lokomotywy	37
Na polskich drogach	39
W kościele	41
Dlaczego	42
Darował mi serce	43
Dzwony w mgłach	45
Jak martwe szyby	46
Cień	47
Z opłatkiem	49
Ogień	51

Str.
Żerowisko 52
Ognisty krzak 53
Poeci 54
Duszy-ście ludzkiej nie widzieli 57
Człowiek 60

Krakowska Drukarnia Nakładowa w Krakowie.

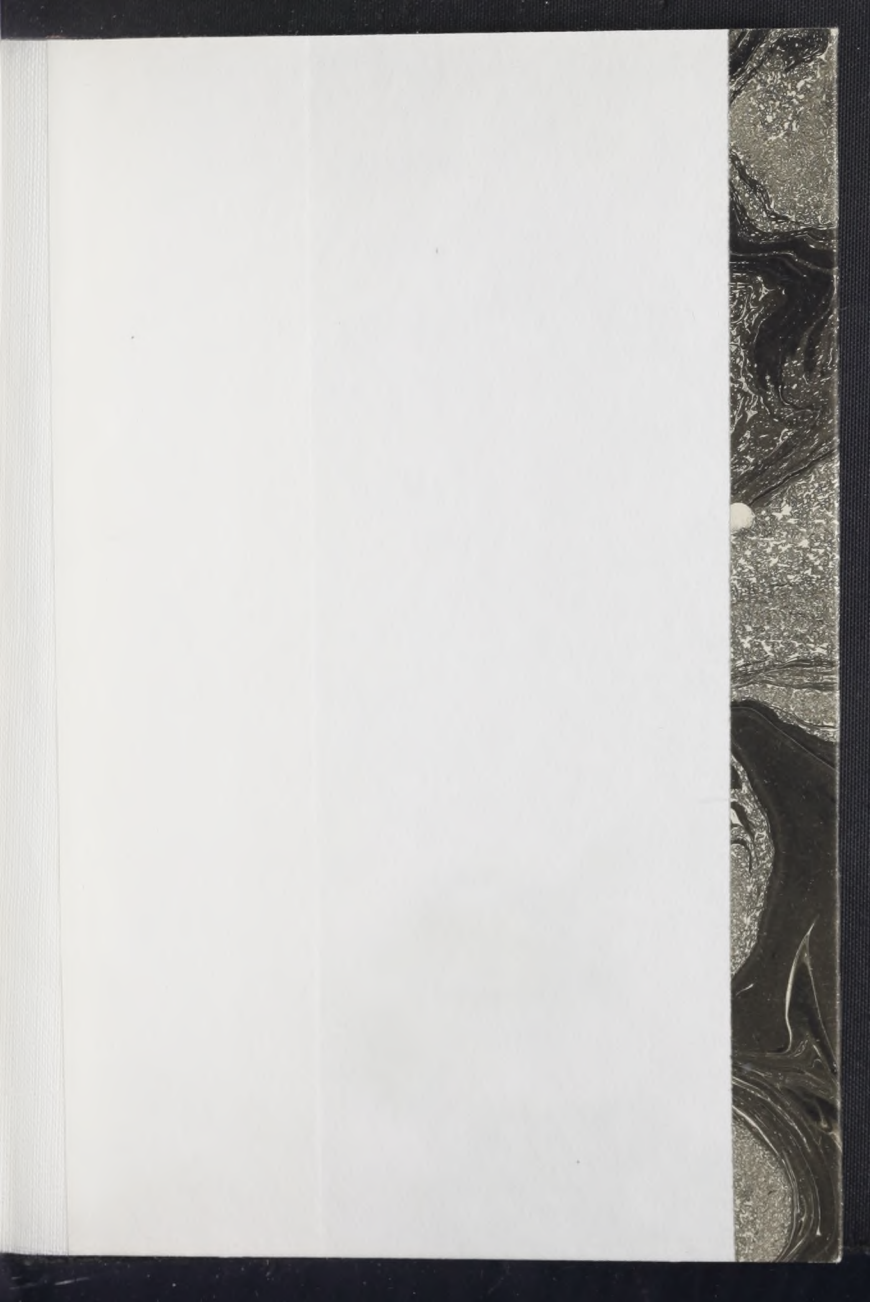

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
505602

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001007757691